Nr 308.

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 5. Listopada 1899.

Z HYGIENY.

(Nowy sposób leczenia ospy i wilka)

Przed pięciu laty ukazała się w Kopenhadze broszura młodego lekarza Nielsa R. Finsena, która narobiła niemało wrzawy w tamtejszym świecie lekarskim. Podała ona zupełnie nowy system leczenia ospy, opierając się na teoryi działania chemicznych promieni światła na organizmy ludzkie i ustroje bakteryologiczne. Dr. Finsen stwierdził szeregiem doświadczeń, że promienie chemiczne, jako części składowe światła słonecznego, sprzyjają rozwojowi bakteryj i zarazków. Dadzą się one jednak wyłączyć przez zastosowanie barwy czerwonej, pochłaniającej, jak wiadomo, barwę fioletową, niebieską i ultra fioletową, będącą zabarwieniem tychże właśnie promieni.

Wystarcza więc usunąć chorego na ospę z pod działania chemicznych promieni światła, zasłaniając szczelnie okna i drzwi czerwonemi zasłonami i posługując się w nocy lampą zaopatrzoną w ciemno-czerwony klosz, aby wstrzymać rozwój ospy i zapobiedz silnej gorączce ropnej, występującej zazwyczaj w drugim okresie choroby. W ten sposób leczona ospa, w połączeniu ze zwykłemi przeciwgorączkowemi środkami lekarskiemi przemija w 8 lub w 12 dniach, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów i szwów, które były dotychczas postrachem dla wszystkich chorych.

Teorye prof. Finsena przyjęto niedowierzaniem. Liczne doświadczenia i nadzwyczaj nie pomyślne przebiegi kuracyi zjednały jej jednak ogromne uznanie. Dzisiaj znajduje się w każdym szpitalu i na każdej klinice prywatnej, osobna sala, zwana „salą Finsena“ zaopatrzona w czerwone szyby, klosze i zasłony, w której leżą chorzy na ospę. System ten przyjęto w Szwecyi, Norwegii i Danii. Wkrótce potem założono w Kopenhadze instytut leczniczy (*Finsens's medicinishe Lysinstitut*) prof. Finsena, oraz stacyę doświadczalną, mającą na celu zbadanie wpływu światła na żyjące organizmy i zastosowanie osiągniętych rezultatów w praktycznej medycynie. Rezultaty te są niesłychanie doniosłe. Prof. Finsen wykazał w ciągu ostatnich trzech lat, że promienie światła leczą bezwarunkowo wszystkie powierzchowne lokalne i bakteryologiczne choroby skóry.

W wypadkach gruźlicy skóry, zastarzałego i świeżo wytworzonego wilka (*Lupus vulgaris*) udało się prof. Finsenowi doprowadzić chorych do zupełnego wyzdrowienia, co najlepiej świadczy o skuteczności jego systemu leczenia. Wynaleziony przezeń przyrząd za którego pomocą odbywa się kuracya, składa się z niebiesko zabarwionej soczewki, (dla wyłączenia palących promieni ciepła) skupiającej promienie świetlne i zaopatrzonej w podwójne ściany, przez które przepływa ustawicznie zimna woda.

Ta soczewka połączoną jest z dużem zwierciadłem wklęsłem, ustawionem w odpowiedniej odległości, w celu powiększenia siły światła i ilości promieni. Pacyent leży na stole poziomo, a asystent lub asystentka, zakrywają ową soczewką o podwójnych ścianach zajętą przez chorobę część ciała i poddają ją działaniu skoncentrowanych i oziębionych promieni świetlnych przez 8 do 25 minut. Czynność ta odbywa się codziennie, aż do ukończenia kuracyi. Światło przenika chorą powierzchnię niszcząc mikroby — a rana goi się szybko, usuwając możliwość recydywy. W jesieni i w zimie zastępują światło słoneczne elektrycznemi lampami żarowemi o napięciu 70 Ampérów.

Będąc niedawno w Kopenhadze, skorzystałem z tej sposobności, aby zwiedzić nowo wybudowany zakład prof. Finsena dla chorych na *Lupus*. Trzystu pięćdziesięciu pacyentów przeprowadza obecnie kuracyę, a sto kilkanaście osób, zgromadzonych ze wszystkich krajów Europy i Ameryki, czeka cierpliwie na swoją kolej, pragnąc się pozbyć nieuleczalnego dotąd cierpienia.

Jeżeli porówna się poprzednio stosowany system kuracyi wilka (*Lupus vulgaris*) i gruźlicy (trwający długie lata i polegający na wypalaniu i barbarzyńskiem wyskrobywaniu zakażonych ran) z bezbolesną i stosunkowo krótką kuracyą prof. Finsena, wówczas mimowoli oddaje się cześć i pokłon tym wielkim mężom nauki, którzy nie dla siebie, lecz dla dobra społeczeństw pracują i oddają im w ofierze żmudne życie swoje i wiedzę, zdobytą wśród bezsennych nocy i trudów!

Dr. Alf. W.

Rozsądne feministki.

Ta sama etykieta może być przylepiona do różnorodnego towaru. Niemiecki ruch feministyczny stwierdza tę starą prawdę. Rozpoczął się on, tak jak i wszędzie, w obronie „pogwałconych“ praw kobiecych. Petycya, zaopatrzona w tysiące podpisów, żądała, bez skutecznie zresztą, zmiany praw cywilnych. Inne petycye, zwrócone do rozmaitych rządów, domagały się, z nie większem powodzeniem, aby uniwersytety i wolne profesye zostały otwarte dla kobiet. Mężczyźni w Niemczech byli usposobieni jak najgorzej do przyjęcia takich innowacyj i bardzo skąpe czynili ustępstwa, zwłaszcza w zakresie „praw“. Co najwyżej uznawali, że profesor może przez grzeczność, dopuścić na swoje wykłady parę zdolnych studentek; w zasadzie jednak przeciwni byli wkroczeniu kobiet na aule uniwersyteckie. Zapaśniczki nie dawały za wygranę i wreszcie wtargnęły wte progi, w szczupłej garstce co prawda.

Nie zmieniło to jednak ekonomicznego stanowiska kobiet. Rozsądniejsze z pośród „społecznic“, widząc, jak sprawa idzie opornie, szukały innych dróg. Tę, którą znalazły, przejmie oburzeniem damy, zabierające głos przeciw małżeństwu na konferencyach i kongresach, a oburzy je tembardziej, że umiarkowane ich siostry, widzą w tem nie środek zaradczy, lecz rozwiązanie problematu feministycznego, częściowe wprawdzie, lecz trwałe.

Tym „wynalezionym“ środkiem jest poprostu... małżeństwo — stare, odwieczne małżeństwo, z ogniskiem domowem i dziećmi.

Rzecz taka zwyczajna istne jajko Kolumba, a jednak nie łatwa w zastosowaniu, albowiem do zawarcia małeństwa — trzeba męża. Jeśli są stare panny, nie zawsze to wina płci brzydkiej; państwo niemieckie liczy obecnie o milion kobiet więcej, niż mężczyzn. Statystyka stwierda, że liczba małżeństw nie zmniejszyła sę od pół wieku, tylko stosunek się zmienił: więcej małżeństw zawieranych bywa w klasach niższych, daleko mniej w średnich warstwach.

I czemuż młodzieńcy z burżuazyi, lub synowie drobnych właścicieli ziemskich tak niechętnie się żenią? Czemuż małżeństwo bywa dla niejednego postrachem?

Feministki niemieckie — mówię wciąż o gronie doborowem — zarządziły ankietę i z całą bezstronnością doszły do wniosku, że winne temu — panny, a właściwie ich wychowanie i że trudno się dziwić kawalerom, jeśli im tak niesporo iść do ołtarza.

Ludzie żenią się chętniej w klasach nizkich, albowiem kobieta z ludu, dzięki rozwojowi przemysłu i olbrzymiej liczbie robotnic fabrycznych, wnosi w dom zarobki. (Co prawda, jest to zysk, opłacony rozprzężeniem domowego ogniska. W społeczeństwie idealnem matka rodziny powinna pilnować domu, dzieci i gospodarstwa; ale ponieważ nie mamy jeszcze idealnego społeczeństwa, zatem trzeba się liczyć z tem, co jest).

W średnich warstwach stosunek jest odwrócony: panna bez posagu wnosi w dom same tylko wydatki, zwiększające się z każdym rokiem. Niemki straciły na wartości. Nowoczesne wynalazki, te same właśnie, które dały robotnicy zajęcie w fabrykach, ułatwiły rolę gospodyni burżuazyjnego domu tak dalece, że talenty gospodarskie, któremi szczyciły się babki, są bezużytecznemi dla wnuczek. Żadna już nie przędzie lnu na bieliznę, rzadko która bieliznę szyje w domu. Chemicy uprościli sztukę kucharską; dziś można kupić w butelkach, puszkach i słoikach mnóstwo produktów, sporządzanych dawniej w domu, z większym pożytkiem dla zdrowia i smaku. Panny, rzecz naturalna, nie uczą się przepisów, któreby się im na nic nie zdały. Nie ma nad czem rąk łamać: dla osób inteligentnych znajdzie się wiele innych zajęć, oprócz rąbania cukru i tłuczenia migdałów; szkoda jednak, iż nie zastąpiono zbytecznych dziś zajęć gospodarskich innemi — pożytecznemi. I cóż dziś robią panny? Wiemy, co trzymać o wartości „talentów towarzyskich“. Jedynem, istotnem zajęciem panny w Niemczech, tak samo jak we Francyi i Anglii (a i u nas niestety) jest zabawa. Rodzice nie zastąpili innemi obowiązkami tych, które się już przeżyły. Nie dosyć jest dostarczyć córkom sposobów zabijania czasu bezużytecznie dla nich i dla innych. Takim systemem wychowawczym zapełnia się pustkę... nicością i ułatwia pogoń za rozrywką.

Panny nabierają nałogu do zabawy i nie zdołają go się pozbyć po ślubie. Egzystencya panien z niemieckiej burżuazyi, przy braku obowiązków i zajęć, wytwarza „istoty luksusowe“, od których, ma się rozumieć, stronią mężczyźni pragnący roznieció domowe ognisko. Wielu nie może po prostu ponosić wydatków jakieby im przyczyniła żona zbytkowna. I w Niemczech istnieje proletaryat umysłowy, urzędy są licho płatne, wymagania wzrastają, trzeba się utrzymać na wysokości stanowiska, żyć *standesgemäis*, a pieniędzy mało, stąd długi i naturalna obawa powiększenia ich jeszcze przez małżeństwo z pannami niepraktycznemi.

Tak oceniły sytuacyę rozsądne feministki i nie gardząc bynajmniej wyższemi studyami i dyplomami, uznały, że są zadania ważniejsze od zabiegów o doktorskie stopnie i kandydatury kobiece. Pomyślały one o tej rzeszy urzędników, ludzi początkujących w rozmaitych zawodach, która przy obecnem wychowaniu panien boi się małżeństwa i powiedziały sobie, że gdyby można rozprószyć te obawy, zmniejszyłoby to liczbę kobiet osamotnionych i wykolejonych.

Ta grupa feministek zwróciła więc wszystkie swe zabiegi ku reformie wychowania dziewcząt. Domaga się dla nich przedewszystkiem wiedzy gruntowniejszej, następnie powiększenia liczby szkół gospodarczych i kucharskich, zrehabilitowania pogardzanych dziś zajęć domowych — jednem słowem — pragnie wytworzyć zastępy kobiet zdatnych na żony ludzi inteligentnych a niezamożnych. Takie reformy ułatwiłyby związki małżeńskie wielu dziewczętom, a reszcie zapełniłyby życie pożyteczniej, niż zabawy i czytanie romansów.

Trudno odmówić słuszności tym poglądom. Potrzeba wyplenić wstydzenie się skromności i prostoty, a stworzyć życie domowe, którego brak wysusza serca.

TELEGRAM.

(Z francuskiego.)

Kiedy porucznik marynarki, Henryk Robeline, otrzymał wiadomość, że jego okręt „Francis Garnier“ przeznaczony został do Chin, pierwszem uczuciem jego była radość, że tam zdobędzie stopień kapitana fregaty. Radość tę jednak prędko zaćmiła myśl, że zostawi żonę i synka. A właśnie w tym czasie od kilku już miesięcy, mały Marceli był słaby i lekarz zalecił najtroskliwszy dozór nad jego zdrowiem. Dziecko od przyjścia na świat było już chorowite. Porucznik Robeline często wyrzucał sobie, że się zbyt pośpieszył ze ślubem, który odbył się wkrótce po powrocie jego z nad Nigru, gdzie trawiony długi czas złą gorączką ledwie zdołał wyrwać się ze szponów śmierci. Połączył się z ukochaną Bertą Feraud i w niespełna rok odzyskał w zupełności siły i zdrowie, lecz mały synek, który w tym czasie przyszedł na świat, był tak słaby, jakby odziedziczył po ojcu straszną febrę, wylęgłą w wilgotnym a skwarnym klimacie Nigru.

* * *

Pani Robeline, przygotowana już do złej nowiny, siliła się być odważną.

— Kiedy odjeżdżasz? — zapytała spokojnie.

— Za dwa tygodnie.

Serce jej ścisnęło się żalem. Porucznik uścisnął żonę i pocałunkami starł łzy z jej policzków.

— Tatusiu, weźmiesz mnie z sobą, prawda? — szczebiotało dziecię...

Niechcąc, ze względu na zdrowie dziecka, mieszkać w Tulonie, państwo Robeline osiedlili się w Tamaris, w najcichszym i najspokojniejszym zakątku wybrzeży morza Śródziemnego. Mieli nadzieję, że tamtejsze słońce i pobyt między palmami i drzewami pomarańczowemi powróci zdrowie dziecku; lecz chłopiec, który z początku odżył, znów zaczął niknąć w oczach zrozpaczonych rodziców.

* * *

Na trzy dni przed odpłynięciem „Garnie’ra“ pani Robeline wyraziła chęć zobaczyć okręt i kajutę, w której mąż jej miał zamieszkać... Uporządkowała kajutę, zrobiła z niej gniazdko. Fotografie swoją i dziecka powiesiła nad łóżkiem, między szablą i pistoletami, aby wygnańcowi przypominały opuszczoną ojczyznę. Wieczorem powracała z Marcelkiem do domu jedną z szalup okrętowych. Łódź, pędzona dość silnym wiatrem, nachylona pod żaglem, leciała jak strzała, dotykając burtami wody. Pogoda była dżdżysta i chłodna. Matka otuliła synka swym szalem, lecz chłopczyna ciągle się odkrywał, klaszcząc w rączki, śmiejąc się do majtków i ciesząc się z wskakujących do czółna fal.

JAN-LA-MICHE

przez S. Bobée.

(Ciąg dalszy.)

— A pan Brizard nie stara się mnie bronić?...

— Jak widzisz.

Marya była tak strasznie nieszczęśliwa, tak opuszczona, że prawie rozum traciła.

Zaczęła się gorzko uśmiechać.

Sędzia myślał, że ją zwyciężył.

— No - rzekł — za przykładem twego przyjaciela, bądź szczerą.., Chcesz trochę wygody w więzieniu? Chcesz pozyskać życzliwość, lub przynajmniej pobłażliwość sądu? Wyznaj, wyznaj wszystko!

Marya pozostała nieruchomą, zimną, jak posąg.

Sędzia mówił dalej:

— Możesz oddać prawdziwą przysługę sprawiedliwości.

— Ah! a to w jaki sposób? — zapytała Marya obojętnie.

— Wymieniając twoich wspólników, Filoche bowiem utrzymuje, że ich nie zna...

— Ah! Filoche nie zna swoich wspólników?...

— Tak utrzymuje. Podług niego to są twoi przyjaciele, cudzoziemcy, włosi może...

— I wierzą Filochowi na słowo?

— Wydaje się szczerym... Cóżby miał w tem za interes, nie chcąc ich teraz wydać?... No, wyznaj wszystko, nazwij wspólników, a nie będziesz trzymana w odosobnieniu.

Marya zadrżała.

— Będę mogła widzieć pana Brizard? — zapytała.

— Tak — odpowiedział sędzia.

— Daje mi pan na to słowo?

— Daję słowo honoru.

Nieszczęśliwa dziewczyna chwilę się wahała.

Dlaczegoby fałszywem zeznaniem nie ulżyć sobie?

Dlaczego nie użyć tego sposobu dla zbliżenia się z tym, którego nie przestała uważać za jedynego przyjaciela.

Była gotowa wyznać wszystko, coby od niej chciano... nazwać nawet swoich wspólników imaginacyjnych.

Lecz godność jej osobista wzięła górę.

— Nic nie mam do wyznania, panie sędzio — rzekła wyniośle. — Zadawaj mi pan męki w dalszym ciągu; nie dowiesz się nic nadto, co już powiedziałam. Jestem niewinna, Filoche jest oszczercą, a sędziowie popełniają okrucieństwo, trzymając mnie zamkniętą w odosobnieniu i nie pozwalając z nikim się widzieć...

XI.

Śledztwo prowadzone przeciw Oskarowi Filoche i Maryi de Champreux zbliżało się do końca, kiedy Jakób Brizard zaczął przychodzić do zdrowia.

Jakób był niebezpiecznie chory, lecz starania najpierwszych powag doktorskich w Paryżu, a przedewszystkiem silna jego natura, przemogły chorobę.

Wiadomo, że posiadał wielki szacunek w najwyższych kołach towarzyskich.

Ohydna zbrodnia spełniona w jego domu, wzmogła sympatyę, jaką go otaczano.

Cały wielki świat wyprzedzał się w odwiedzinach.

Książę de Preuilly i baron de Luckner najczęstszymi byli gośćmi.

Ten ostatni okazywał wielkie oburzenie dla morderców biednego Karola Turbot

Obwiniał policyę paryską za nie przedsiębranie środków energicznych dla bezpieczeństwa mieszkańców stolicy.

Rodzina Bonivardów i Alfons Cavaillon nie odstępowali chorego.

Przyszedł wreszcie dzień, kiedy po śnie spokojnym Brizard otworzył oczy i poznał otaczających.

Znikła gorączka, a doktór oświadczył, iż niebezpieczeństwo minęło.

Pozostało jedynie niezmierne osłabienie.

Wypadało teraz odżywiać rekonwalescenta i oszczędzać mu silnych wzruszeń.

Pan Bonivard i Cavaillon zakłopotali się bardzo, skoro Jakób zażądał wiadomości o swojej protegowanej, dziwiąc się, że nie przyszła odwiedzić go w chorobie.

Po długiem wahaniu, pan Bonivard zdecydował, że nie można Jakóba pozostawić w nieświadomości losu Maryi de Champreux.

Z wszelkiemi ostrożnościami opowiedział mu straszną prawdę.

Musimy wyznać, że pan Bonivard w duchu czynił Maryę odpowiedzialną za kradzież spełnioną w jego willi.

Lecz zanadto przywiązany był do Jakóba Brizard ażeby dać mu do zrozumienia, iż zajęcie się jego nieszczęśliwą dziewczyną nie miało podstawy, było poprostu fatalnem złudzeniem.

Mówił zatem o Maryi, jak gdyby stała się ofiarą pomyłki.

Jakób wzruszył się okrutnie. Co za straszny cios dla niego!

Kazał się ubrać natychmiast, pojechał do Pałacu sprawiedliwości i otrzymał posłuchanie u sędziego śledczego, Thiron Cluzas.

Sędzia przyjął go ze wszelkiemi względami, jakich ludzie nigdy nie odmawiają posiadaczowi licznych milionów — którego wreszcie, jak tylko będzie w stanie dać wyjaśnienia, miano także przyzwać na świadka.

Zanim sędzia zdobył się na zapytanie, Jakób Brizard powstał z energią przeciw aresztowaniu panny de Champreux.

Ręczył nie tylko za niewinność, lecz za wysoką uczciwość i nieskalaną cnotę młodej dziewczyny.

Pomimo osłabienia, opowiedział sędziemu całą historyę poznania się i stosunków z panną de Champreux, jako też, iż miał środki wykazania niewinności pułkownika de Champreux, który stał się ofiarą pomyłki sądowej.

Zapewnił, że stosunek jego z Maryą nie miał innego celu, jak otrzymanie wspólnemi siłami rehabilitacyi szlachetnego męczennika.

Tylko nie uczynił ani wzmianki o podejrzeniu swem na barona de Luckner. Oprócz tego, nic więcej nie ukrył przed sędzią śledczym.

Pan Thiron-Cluzas słuchał, nie przerywając.

Gdy Jakób skończył, wtedy łagodnie, w słowach umiarkowanych starał się „odebrać mu złudzenia“.

Podług sędziego, pan Jakób Brizard postępował w tej sprawie w dobrej wierze.

Zupełnie szczerze wierzył w niewinność pułkownika i jego córki.

Lecz w samej rzeczy, nie zdając sobie z tego sprawy, uległ wpływowi uczucia tkliwego...

— Wreszcie — dodał urzędnik grzecznie — pan Brizard nie był pierwszym człowiekiem wyższej inteligencyi, który padł ofiarą szlachetnych, lecz źle umieszczonych złudzeń. Czyż nie trafiało się, że największe geniusze tego świata miały życie zatrute niegodną ich miłością?

Jakób pozwalał mówić panu Thiron-Cluzas, choć wszystko się w nim burzyło.

Wreszcie zanadto był bystry, ażeby zrozumieć, iż nic nie otrzyma od upartego, przy raz powziętem zdaniu, sędziego.

Nie żądał nawet, żeby pozwolił mu widzieć się z nieszczęśliwą Maryą, pewny, że spotka go przykra odmowa.

Rozgoryczony do najwyższego stopnia wyszedł z pałacu sprawiedliwości.

(C. d. n.)

Odzywała się w dziecku krew żeglarska. Wątłe dziecko przeziębiło się i nazajutrz nie wstało z łóżeczka.

Rodzice całą noc oka nie zmróżyli. Rano przyszedł lekarz.

— Doktorze, wszak go ocalisz? — pytali z rozpaczą.

Lekarz odpowiedział: Ma się rozumieć — lecz spojrzenie jego nie bardzo potwierdzało nadzieję. Chłopczyna był tak wątły, że najmniejszy katar był dla niego niebezpiecznym...

— Jutro odpływamy...

Jęk bolesny wydarł się z piersi Berty. Jutro! Bodaj to jutro nigdy nie przyszło! Jutro! A jeżeli dziecko umrze?!

— Nie odjeżdżaj, Henryku, błagam cię, zostań.

I chciał wyjść, aby podać prośbę o urlop; lecz we drzwiach zatrzymał się. Przecież jest dowódcą okrętu, otrzymał rozkaz!

Gdyby pozostał — byłby zbiegiem! Zstępował jednak ze schodów; głosy rozbudziły chorego i przez sen prawie wołał:

— Tatusiu, przywieź mi Chińczyka!

Berta wołała za mężem:

— Henryku, ja wiem, że ty jechać musisz! Ale zmysły tracę... Nie wiem co mówię...

W naznaczoną godzinę „Francis Garnier" wypłynął z przystani. Kapitan jego stał na mostku i patrzał na biały domek pod palmami. Na balkonie pokazała się postać kobieca, powiewająca chustką i przesyłająca ręką pocałunki — lecz znikła zaraz. Pewnie w pokoju dziecko kaszle...

* * *

Zeszedł do kajuty i wziął do rąk kalendarz, czerwono pokreślony. Każda taka kreska, to przystań, w której czekać go będzie telegram. Od Port-Said aż do Hong-Kong.

Przy ostatniem pożegnaniu mówił do żony:

— Mnie będzie gorzej, niż tobie. Proszę cię telegrafuj do mnie na każdą stacyę. Jeżeli dziecku będzie lepiej, to „nadzieja" — albo też „odwagi" jeżeli...

— Odwagi! — szeptał teraz. — Co za ironia! Być mężnym, kiedy śmierć chyha na jedyne dziecię!..

Po długiem oczekiwaniu pokazał się Port-Said.

„Nadzieja" — brzmiała depesza. Lecz depesza czekała tu na okręt całą dobę, a przez ten czas co się stać mogło?

Za kanałem Suezkim kazał powiększyć szybkość. W Aden otrzymał drugą depeszę „Nadzieja", lecz w Colombo, dokąd przez zbytni pośpiech, przyjechał za wcześnie, depeszy nie zastał. Wbrew rozkazowi stał na kotwicy, czekając — wreszcie musiał płynąć dalej Zrozpaczony, — nie jadł, nie pił — zamykał się w kajucie, oddając dowództwo swemu zastępcy.

W Saigon pierwsza łódź, która przypłynęła do boku okrętu, przywiozła depeszę: „Wielka nadzieja

Ucałował papier, zbrukany rękami anamitów, lecz nagle przyszła mu do głowy myśl, że może go żona okłamuje, chcąc, aby spokojnie dojechał do Fu-Czeu! O, gdyby mógł wiedzieć prawdę! I całomiesięczną pensyę zapłacił za długi telegram, w którym żądał szczegółów i prawdy za jakąbądź cenę.

Hong-Kong! przyjechał w nocy; biuro telegrafu, konsulat wszystko zamknięte. Błądził do rana po ulicach miasta; gdy tylko otworzono biuro otrzymał oczekiwany papier: „Daleko lepiej — Marcelek ocalony".

Konsul, który w dwie godziny później ujrzał w paradnym mundurze komendanta „Francis Garnier", miał go za pijanego — a on był pijany radością.

W kilka dni później wpadł w nową gorączkę, w gorączkę wojny. Wkrótce odznaczył się tak, że nazwisko jego było na wszystkich ustach. Jego zapał udzielał się wszystkim. Odważny o zuchwalstwa, nie oszczędzał młodego życia i odzyskanej energii. W bitwach dokazywał cudów waleczności; zdobył chińską korwetę z całą flotylą czółen i wyszedł z ognia nawet nie zadraśnięty.

Kiedy flota francuska odpływała po skończonej wojnie admirał Coubert przywołał go do siebie.

— Robeline! — rzekł — jesteś pan kapitanem fregaty!

Kapitan uścisnął admirała, który wcale mu tego nie bronił i wskoczył do swej szalupy. Przejeżdżając obok „Garnier", nie pozwolił się zatrzymać. Spieszył posłać depeszę do żony.

— Berta — mówił do siebie — dowie się wprawdzie o moim awansie z „Monitora", ale może myśli, że jestem raniony, to parę słów ją uspokoi.

Gdy powrócił na pokład, wszyscy mu winszowali. Stary Noelik, służący, poczciwy Bretończyk, cieszył się:

— Poczekaj pan, kapitanie, zobaczysz, jak ja ci dzisiaj mundur obszyję galonami.

W kajucie zastał listy—listy z Francyi.

— Tylko tego brakowało mi dzisiaj do szczęścia — wyszeptał z radością i posłał pocałunek fotografiom żony i dziecka.

Otwierał właśnie list od Berty, gdy zapukano do drzwi.

— Kapitanie, depesza!

Schwycił papier, rozwinął i zbladł jak ściana, ściskając gardło ręką, aby nie ryknąć.

Depesza brzmiała:

„Marceli znowu zachorował. Nie ma ratunku. Odwagi."

— Boże wielki! — zawołał strasznym głosem i padł na łóżko...

— Kapitanie, co panu?... panie kapitanie?

To stary Noelik przyniósł mundur z naszytymi trzema złotymi i dwoma srebrnymi galonami.

Kapitan podniósł się, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Machinalnie siadł przy stoliku, patrzał na depeszę, wreszcie wziął do ręki list Berty. Ręce mu drżały, nie mógł przeczytać ani jednego słowa. Nagle spojrzał na ostatnią stronę listu i począł czytać głośno, urywanym głosem:

„Najdroższy tatusiu! Kiedy wyzdrowiałem, mateczka nauczyła mię pisać, abym mógł sam do ciebie napisać, że cię bardzo, bardzo kocham i że tęsknię za tobą..."

— O Noeliku, mój dobry Noeliku!

Objął za szyję starego marynarza, czując potrzebę mieć przy sobie kogoś, do kogo mógłby przemówić i podzielić swą rozpacz...

Wskazał na fotografię dziecka, uśmiechającego się z pośród zawieszonej nad łóżkiem broni.

— Już nie żyje, Noeliku... Już nie żyje mój syn.

Marynarz obejmował go, trzymając w ręku mundur, a na nowe galony spadały ciężkie i wielkie łzy kapitana.

Paweł Bonnetain.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.